



RAPORT Z EMIGRACJI

NADBAŁTYCKIE
CENTRUM
KULTURY



Wywiad z Maciejem Zarembą Bielawskim,
autorem książki *Dom z dwiema wieżami*



Aleksandra Kozłowska: Panie Macieju, wróćmy na chwilę do roku 1968 – mieszka pan w Warszawie, ma siedemnaście lat i słyszy słowa, które na zawsze odmieniły pana życie. Mama mówi: „Jestem Żydówką. Wyjeżdżamy”. Która część tej wypowiedzi zrobiła na panu większe wrażenie? Jak pan to przyjął? Wiem, że jako dobrze wychowany syn, po niespełna sekundzie odpowiedział pan: „Tak, mamusi, wyjeżdżamy”. Ale jaki to wywołało w panu oddźwięk?

MZB: To pytanie jest okropne, bo nie wiem. Po pierwsze nie byłem tak dobrze wychowany (w każdym razie później się okazało, że nie byłem), a po drugie to coś w trzewiach zmusiło mnie, żebym odpowiedział „Oczywiście, mamusi, wyjeżdżamy”. Nie zdążyłem się nad niczym zastanowić. Po czym okazało się, że moja odpowiedź zdecydowała o wszystkim – nie wiedziałem, że ojciec nie chciał wyjeżdżać. Dałem słowo i nawet nie myślałem żeby je wycofać. A pani pyta o to, jak ktoś wychowany w kulcie polskiego rycerstwa, przekonany o tym, że jest

potomkiem zakutych w stal i zwieńczonych pióropuszcami zwycięzców spod Grunwaldu, przyjmuje wiadomość, że w rzeczy samej należy do dosyć pogardzanego w Polsce gatunku ludzi. I o ile pamiętam, to się ucieszyłem, że do mojego starego szlachectwa dodano jeszcze starsze: bohaterów z Masady i dworzaków dworu króla Dawida czy Salomona. Mało który Polak mógłby się poszczycić takimi przodkami. Wiem, że to była taka szczeniacka racjonalizacja.

AK: Czyli w pierwszym momencie nie był pan zszokowany? Nie zapalił się panu grunt pod nogami?

MZB: To jest dziwne, bo było tak, jakbym wiedział nie wiedząc. Zadziały jakieś podziemne fluidy. Nie byłem w szoku. Wszyscy moi przyjaciele siedzieli wtedy na walizkach. Ja byłem w tym towarzystwie jedynym gojem i nawet sobie z tego żartowano. Mnie się to nie do końca podobało, że nie przynależę do nich, więc na najbliższej prywatce ogłosiłem, że koniec z głupimi żartami, bo ja też wyjeżdżam.

AK: Nakreślmy obraz sprzed tego sensoryjnego wyznania. Jak wyglądało wtedy pana życie? Pana rodziny? Wiem, jak się pan ubierał. Zapamiętałam barwny opis: spodnie z szarej flaneli i intensywnie niebieska marynarka z purpurowym golfem. Wiem, że nastoletnie życie wypełniały panu kobiecość i filmy, zwłaszcza francuska Nowa Fala. Był pan już wtedy wyrobionym odbiorcą, a przynajmniej za takiego chciał pan uchodzić. Brigitte Bardot była dla pana zbyt banalna, natomiast kochał się pan w...

MZB: ...Jeanne Moreau, oczywiście.

AK: Miało to wpływ na decyzję, dokąd wyjechać. Zanim porozmawiamy, dłaczęgo do Szwecji, proszę powiedzieć, jak wyglądał państwa dzień codzienny. Rodzice byli lekarzami, często się przeprowadzaliście. Czy w jakiś sposób przeczuwał pan atmosferę Marca '68? Matka była szukanowana w pracy. Czy pan o tym wiedział? Zdawał sobie pan sprawę z tego, co się dzieje?

MZB: Tak, docierało to do mnie, ale nie rozumiałem, o co chodzi. Trzeba dodać, że przed wyjazdem z Polski nie spotkałem się z antysemityzmem. To znaczy na pewno się spotkałem, tylko tego nie wychwyciłem. Bo jeśli się nie wie, pewnych rzeczy się nie widzi i nie słyszy. Że gwiazda Dawida wisi gdzieś na szubienicy – to były jakieś abstrakcje, ja tego nie rozumiałem, dopóki się nie zetknąłem z tą młodzieżą siedzącą na walizkach. A zetknąłem się z nimi, kiedy się dowie-

działem, że nie dostałem się na studia. Byłem przekonany, że źle zdałem. Nie wiem, może tak było (zdawałem na romanistykę, bo nie wiedziałem, co ze sobą zrobić). Mama posłała mnie wtedy do takiej dziwnej szkoły, w której uczyliśmy się na przykład pisanie na maszynie oraz korespondencji handlowej po rosyjsku. Było tam z siedemset dziewczyn i kilku chłopaków, pięciu, sześciu. Ich wszystkich wysłały tam mamy, żeby przypadkiem nie zrobili komuś dziecka przed wyjazdem. Pytali mnie: „A co ty tu robisz? Jesteś Żydem?”. „Nie, skąd. Mama mnie tu usadowiła”. Uciekłem z tej szkoły chyba po miesiącu, ale oni mnie uświadomili. W książce jest bardzo bolesna scena, o której nie chcę tu opowiadać, podczas jakiegoś młodzieżowego spotkania. Zaczynam bronić honoru narodu polskiego przez oskarżeniami o antysemickie ciągoty. I oni mnie uświadamiają. A ja wtedy jeszcze nie wiem.

AK: Co pan wtedy wiedział? Dopiero po latach dowiedział się pan, że rodzice ustalili między sobą, że jeśli kiedyś pojawią się dzieci, zostaną wychowane w absolutnej niewiedzy o korzeniach matki.

MZB: Nawet więcej. W niewiedzy o czymkolwiek, co mogłoby zakłócać harmonię ducha tych dzieci. Mam dwóch braci. Nie wiedzieliśmy o niczym. Ani o tym, że wujek był w Gułagu, że siostra ojca zginęła w Oświęcimiu przez konspirację, no i przede wszystkim o tym, że rodzina mamy zginęła w Zagładzie. Nie wiedzieliśmy o niczym. Tych dwoje ludzi

w sposób doskonały pozwalało nam wierzyć, że wokół jest spokojnie i bezpiecznie, a jednocześnie byli przedmiotem nagonki politycznej, dosyć potwornej.

AK: Ojciec był wrogiem systemu?

MZB: Ojciec był bardzo niepopularny wśród aktywu partyjnego w szpitalu, którym kierował, który właściwie stworzył jeszcze w latach 20. Mieliśmy naprawdę harmonijne dzieciństwo. Rodzice ściszyli głos, kiedy dzieci pojawiały się w pokoju, a ja coś tam wychwytywałem z tonu ich głosów. Kiedy się o wszystkim dowiedziałem, nie byłem zaskoczony. To jest bardzo dziwne. Jak się nazywa to, co grzyby mają pod ziemią?

AK: Grzybnia.

MZB: „Mycel” po szwedzku. Jak gdyby między ludźmi w rodzinach też istniały jakieś podziemne korzenie i to przez nie, przez podeszwy, wchodziło w dzieci coś, co rodzice chcą ukryć. Mnie nic nie dziwiło. Jakbym wiedział.

AK: Wróćmy do momentu, w którym losy się przeważyły, pan powiedział „Wyjeżdżamy”. To była też bardzo dramatyczna sytuacja dla pana ojca, który nie rozumiał desperacji mamy. Twierdził, że to przemienie, że to kolejna akcja komunistów, że Polska taka nie jest. Jednak ten wyjazd musiał nastąpić. Musieliście się spakować w ciągu sześćdziesięciu dni, zostaliście bezpaństwowcami. I tu pojawia się Szwecja.

To był pana pomysł, żeby wybrać Szwecję? Ameryka była dla pana zbyt wulgarna?

MZB: To nie był mój pomysł, to była konsekwencja mojej ignorancji. Nie wiem, czy państwo wiecie, ale najpierw pozbawiali ludzi pracy, stanowiska, czasami nawet mieszkań, straszlii prokuratorem. Ówczesnemu szefowi PWN-u, Adamowi Brombergowi, groziła kara śmierci. Trzeba było zrzec się obywatelstwa i było bardzo mało czasu, żeby wyjechać. Mało tego: nikt nie wiedział, co się stanie, jeżeli się nie zdąży załatwić wszystkich pozwoleń. A trzeba było mieć pozwolenie na wszystko, nawet na serwetki. Nie wolno było zabrać maszyny do pisania. Biegałem po urzędach i załatwiałem podpisy, bo mama się zbuntowała i powiedziała, że nie wytrzyma. Trzeba było szybko zdecydować, dokąd pojedziemy. Myśmśmy chcieli do Francji, ale trudno było dostać francuską wizę. Okazało się, że z jakichś przyczyn Dania i Szwecja przyjmują uchodźców. Mama zaproponowała Stany Zjednoczone, bo tam mieszkał jej daleki krewny, a ja odparłem, że nie, bo Ameryka jest wulgarna. Skąd pomysł, żeby nastolatek, w kraju, który uwielbiał Amerykę, uznać nagle, że jest niegodna, by zaszczyścić ją podaniem o azyl? Mama wyciągnęła Szwajcarię. Chodziłem do szkoły z francuskim, więc przynajmniej z językiem nie byłoby już problemu, ale ja powiedziałem, że nie znam żadnego pisarza ze Szwajcarii, więc co to w ogóle jest za kraj. I zaproponowałem Szwecję.

Tak sobie, na chybił trafił. Byłem wtedy przekonany, że w Szwecji można dobrze żyć ze ścinania tulipanów. Mama zapytała z przekąsem: „To pewnie są ci znani szwedzcy pisarze?”. Odpowiedziałem: „Oczywiście. Henrik Ibsen”. I tak się toczył losy świata... Następnego dnia pojechałem na ulicę Bagatela, do Ambasady Szwecji. Nigdy nie zapomnę tych zapachów. Ona rzeczywiście pachniała inaczej niż wszystko inne w Polsce.

AK: Przyjemniej.

MZB: Może inaczej. Wszystko tam było lekko perfumowane. Potem zrozumiałem, że oni ze Szwecji sprowadzali detergenty, środki do mycia podłóg i tak dalej. Bilety lotnicze też były perfumowane (bo myśmy samolotem lecieli). Całe moje życie opiera się na serii przedziwnych przypadków, ale ja się z tym pogodziłem. Zresztą, co mam zrobić?

AK: Co pan zrobił z tą nową wiedzą? I kiedy?

MZB: Miałem osiemnaście lat. Jeżeli pamiętacie państwo, jak człowiek się w tym wieku zachowuje, to ja nie miałem miejsca ani w mózgu, ani w sercu na żadne poważne sprawy. Po pierwsze musiałem zorganizować ten wyjazd. Moi bracia byli młodzi, musiałem wszystko zrobić sam. I zrobiłem to z tupetem. Symbolicznie mściłem się na tych urzędnikach. Ojciec nie wyjeżdżał, więc to był dramat rodzinny. Biegałem między rodzicami i próbowałem ich pocieszać. Strasznie wydorosłałem przez te miesiące.

Ze szczeniaka, który był beztroskim chłopcem i którego interesowały tylko dziewczyny, Beatlesi i sport...

AK: I banany...

MZB: I banany. I wyjechaliśmy. Mama się uparła, że natychmiast zacznie pracować. Była psychiatrą, miała pięćdziesiąt lat. Musiała się nauczyć szwedzkiego. I nauczyła się w półtora roku. Po tym czasie pracowała już jako lekarz. Ja właściwie z wrodzonej lekkomyślności w ogóle przestałem myśleć o przeszłości. Byłem całkowicie nastawiony na to, co będzie. I trzeba było czterdziestu lat, żebym zdecydował, że muszę coś z tą przeszłością zrobić. To też właściwie nie było świadome, bo nie miałem zamiaru pisać tej książki. Napisałem kilkanaście stron, moim zdaniem trochę zabawnych, o tym, jak to było być nastolatkiem w PRL-u (to jest ta historia z bananem). Pokazałem je wydawcy, który dotychczas wydawał moje reportaże, i on się tym zainteresował. To było pięć lat temu. Umówiliśmy się, że zrobię taką książeczkę, taką burleskę o życiu nastolatka za żelazną kurtyną. To mogło być dla Szwedów ciekawe. Lubię absurdy, a tam było tyle absurdów...

AK: Polowanie na płótno żeglarskie żeby uszyć džinsy...

MZB: Na przykład. Czy moja warszawska rozmowa z Rolling Stonesami. Przedziwne rzeczy się wydarzały. Weszliśmy na konferencję prasową ze Stonesami na kartę

pływacką, mówiąc po francusku. Byłem przekonany, że Jagger nie mówi po francusku, ale on mówił.

W każdym razie taki był pomysł na książeczkę i miałem napisać ją w przerwie między jakimiś reportażami. I utknąłem. Okazało się, że ja tego młodego człowieka, o którym miałem pisać, w ogóle nie rozumiałem. Nie miałem z nim kontaktu. On mnie zadziwił, trochę przerażał swoją lekkomyślnością. Z drugiej strony podejmował jakieś decyzje i musiałem zrozumieć, dlaczego akurat takie. Wiem na pewno, że nie miał żadnej zorganizowanej moralności, ani katolickiej, ani żadnej innej. I okazało się, że nie potrafię napisać nawet tej małej książeczki, nie rozumiawszy, z czego ten młody człowiek się składał. Co mu właściwie chodziło po głowie.

AK: Bo byłoby to pewnie bardzo powierzchowne.

MZB: Tak, i okazało się, że nie mogę się obyć bez rodziców, bez dziadków... Bez ojca, który w wolnych chwilach próbował nas wychowywać. A tych wolnych chwil miał bardzo mało, więc tak naprawdę dziećmi się nie zajmował. Ani on, ani mama, bo nie mieli na to czasu i ja ich doskonale rozumiem. Moim zdaniem dzieci to bardzo nieciekawe osoby.

Utknąłem w tym wszystkim. Skończyło się na tym, że mój edytor, który jest niesamowitym wydawcą, zrozumiał, że coś jest nie tak i przyjechał do naszego letniego domu na wyspie w archipelagu. Poszliśmy

na coś, co on nazwał *post factum* „męską psychoanalizą”. Jak wiadomo, podczas psychoanalizy pacjent nie widzi analityka. To się odbyło w ten sposób, że szliśmy bardzo wąską ścieżką w lesie, on z tyłu za mną, i powiedział: „Opowiedz o ojcu”. Zacząłem mówić i nagle się rozpląkałem. „No dobra – powiedział – to mamy książkę. Pisz o tym, co cię boli”. Bardzo mądra rada. Potem przez trzy lata dłużyłem w tym, co mnie boli.

AK: Jak wyglądała ta praca? Od czego pan zaczął?

MZB: Próbowałem przypomnieć sobie ojca. Ile miałem obrazów wspólnych rozmów? Bardzo mało. Albo mam słabą pamięć, albo te momenty bliskości były rzadkie. Byłem przerażony, bo pamiętałem banalne sceny. Wydawało mi się, że nie pamiętam niczego ważnego, rozmów zasadniczych. Natomiast pamiętałem doskonale, że ojciec któregoś dnia zaproponował, że pójdziemy do kina na *Rio Bravo*. Ojciec w ogóle do kina nie chodził, chyba że grał Buster Keaton. Zapisywałem te błahe scenki, pomyślałem sobie, że są trywialne, ale skoro tak doskonale je zapamiętałem, to one coś znaczą. Nie wiedziałem co, ale wiedziałem, że nie mogę ich pominąć. I w ten sposób powstała cała książka.

AK: Z banalnych scenek.

MZB: Okazało się, że one nie były takie banalne. Bo jeżeli coś mi zapadło w pamięć, to miało swoją wagę. W pewnym momencie zrozumiałem, że sam się sobie przedstawiam, że najwyższy czas zrozumieć, z czego się człowiek składa, dlaczego reaguje biologicznym wstrętem wobec jakiejś osoby.

AK: Na dźwięk głosu albo na czyjś zapach.

MZB: Tak. I nie sposób tego wytłumaczyć, ale można próbować dociec, skąd to się bierze.

AK: Doświadczenia wojenne pana rodziców były skrajnie różne. Ojciec spędził ten czas w miarę bezpiecznie. Przebywał w oflagu, tymczasem mama ze sto razy zmieniała miejsce pobytu, pięć razy nazwisko, była ukrywana. Nawet po wojnie, idąc ulicą wypatrywała kryjówek. „Tu będzie dobrze, tu będzie bezpiecznie, tu jest piwnica, tu jest duża szafa gdańska”. Jako Żydówka ukrywająca się razem z matką przeszła niewyobrażalne rzeczy. Pan docierał do tych historii. W jaki sposób pomogły zrozumieć rodziców? Na pierwszych stronach książki pisze pan, że to dla nich spisał pan te historie.

MZB: Tak, ale to zdanie napisałem na końcu, kiedy zrozumiałem, że ta książka właściwie nie jest o mnie. To jest z mojej strony akt pokuty. Wyjechaliśmy, ojciec został sam. Bardzo osamotniony. Był starszy od mamy o trzydzieści lat.

Z mamą miałem niedobre stosunki, za bardzo się kochaliśmy. To była taka namiętna miłość z jej strony. Miała wymagania, którym nie mogłem sprostać. Dopiero później to zrozumiałem, pisząc książkę. Nasze stosunki były tak zaognione, bo chciała, żebym jej wybaczył rzeczy, o których nie wiedziałem: w jaki sposób przeżyła tę wojnę, za jaką cenę.

AK: Ona sama też to w sobie zamknęła.

MZB: Do dziś do końca nie wiem, jak tam było. Nie byłem dla niej dobry. Dopiero teraz zrozumiałem, że ona nie mogła być inna. Że ci ludzie, szczególnie kobiety, które to przeżyły, do tego rok 1968, nie mogły być inne. Są tak poharatane, że muszą się zamknąć w jakimś panczerzu. Przez ten pancierz mieliśmy bardzo niedobry kontakt. Mama nie opowiedziała mi nigdy swojej historii. Na szczęście opowiedziała mojej żonie, która jest pisarką. Potem zniszczyła te taśmy, które nagrały. Jednak sporo zostało, bo ona nieuważnie to niszczyła. I jeszcze do tego pod koniec życia zaczęła spisywać niektóre rzeczy, głównie fakty, ale okazało się, że one są do sprawdzenia.

AK: Na przykład lista osób, dzięki którym żyje. Trzydzieści sześć osób: Polaków, Niemców, Ukraińców, które w jakimś momencie coś zrobiły. Dostatecznie szybko przekazały nowy adres albo nie doniosły.

MZB: Albo strzeliły w łeb szmalcownikowi.

AK: Wyobrażam sobie pracę przy drążeniu rodzinnych tajemnic jako długą i bolesną drogę, również dlatego, że przed wyjazdem z Polski nie zdawał pan sobie sprawy z antysemityzmu, zakorzenionego w Polsce przed wojną. Drążąc rodzinną historię, trafił pan na postać dziadka Izaaka. Tu już nie było wątpliwości, jakie panowały stosunki, jakie było nastawienie do Żydów. Na przykład dwa lata przed wojną związek lekarzy postanowił wykluczyć ze swego grona wszystkich żydowskich lekarzy.

MZB: A o tym nikt nie wie.

AK: Ja też nie wiedziałam.

MZB: Nie wyobrażałem sobie, że napiszę w tej książce newsa. Pytałem polskich historyków. Nikt o tym nie słyszał, mimo że są dostępne dokumenty. Wystarczy poszperać. Z dziadkiem było tak, że nawet nie wiedziałem, jak miał na imię. I co dziwne: nie pytałem. Mama zawsze mówiła, że zginął podczas wojny. I że miał na imię Juliusz i był sędzią. On się nazywał Izaak, nigdy nie miał na imię Juliusz. Ona upierała się przy tym Juliuszu jeszcze po naszym wyjeździe. To było przedziwne, bo ostatecznie myśmy wiedzieli, dlaczego wyjechaliśmy, a tu ciągle ten Juliusz. Jedyne, co wiedzieliśmy, jedyny epizod, o jakim wspominała, to że kiedyś sprzął kogoś po pysku. Nie wiedziała gdzie, nie wiedziała kiedy, nie chciała o tym więcej mówić. I wydarzył się cud, bo znalazłem w krakowskiej ga-

zecie notatkę o tym, jak sędzia Izaak Wilhelm Immerdauer bił się z pewnym adwokatem, Juliuszem Harbutem, na rynku w Krzeszowicach. Na szczęście ten adwokat był pieniaczem, a to jest najlepszy przyjaciel dziennikarza. Pieniacz pozostawia po sobie dokumenty. Oczywiście został skazany, bo to on napadł na dziadka, ale odwoływał się do samego Naczelnika Państwa. Jest pięćset stron dokumentów, gdzie tenże adwokat daje wykładnię swoich poglądów i swojej mentalności.

AK: Że „odżydza” sądownictwo.

MZB: „Odżydzał” też za okupacji. Pisał do niemieckich władz, że zawsze „odżydzał” czynnie.

Dzięki tej historii wiem, jak dziadek był zbudowany. Myślałem, że był mały (mama była drobna), a to był atletyczny mężczyzna. Jest autopsja – musiał go zbadać lekarz sądowy, bo obydwaj mieli siniaki. Nie myślałem, że dotrę do takich dokumentów. Znalazłem też jego pracę egzaminacyjną, egzaminu sędziowskiego we Lwowie. Oblał pierwsze podejście. Jest notatka egzaminatora, który napisał, że dziwny jest ten Immerdauer, bo źle rozumuje, ale dochodzi do właściwych wniosków. Coś po nim odziedziczyłem.

AK: Jak to wszystko, do czego pan się dokopał, zmieniło pana? Proces tworzenia książki był długi i wiem, że nie mogło to być łatwe, bo wspomina pan o swoim psychoterapeucie.

MZB: Po dwóch latach pracy powiedziałem wydawcy: „Słuchaj, nie skończę tego w tym roku, tak jak się umówiliśmy, bo mam depresję”. On pokiwał głową i powiedział: „Teraz mi mówisz? Wszyscy pisarze tak mówią”. Ale jak przeczytał, zrozumiał, że mówiłem prawdę.

Wpadłem w depresję narodową. Kiedy wyjeżdżałem z Polski, byłem polskim patriotą i prawdziwym Polakiem, niestworzone rzeczy opowiadałem Szwedom o niesłuchanej polskiej tolerancji, o Rzeczypospolitej Obojga Narodów, o tym, że to był jedyny naród, który się przyzwoicie zachowywał w czasie okupacji, że nie było Quislinga. A nie wiedziałem, że chętni byli, tylko Hitler nie był tym zainteresowany. Jak napisał pewien piosenkarz: „Coś mi pękło. Robię ogląd. A to pękł mi światopogląd”.

Załamał się mój odziedziczony światopogląd, musiałem sobie to wszystko przewartościować. Odbyło się to w szczególności przy lekturze źródeł z międzywojnia. Wiedziałem, że był antysemityzm, ale nie że do tego stopnia. Nie można było wyjść na ulicę, żeby nie zobaczyć tych nagłówek w gazetach. To było zupełnie nieprawdopodobne. I jaki stopień wulgarności w tym wszystkim. Przeczytałem sobie dzieła naszego bohatera narodowego Romana Dmowskiego i od tego czasu nie mogę w Warszawie mieszkać w hotelu Forum (obecnie Novotel, przyp. red.) bo on jest przy rondzie jego imienia. Nie chcę mieć tego adresu. A depresja wzięła się stąd, że cały gniew, który się we mnie obudził, we mnie uderzał. Jestem przecież też

tym prawdziwym Polakiem, tak mnie wychowano i tak się długo czułem.

AK: Czuł pan współwinę jako reprezentant tego narodu?

MZB: Nie wiedziałem, co z tym zrobić. Najłatwiej byłoby powiedzieć: „A odwalcie się ode mnie. Nie chcę mieć z wami nic wspólnego”. Tak jak wielu moich znajomych z Polski, którzy wyjechali w 1968 roku. Oni aktywnie zapomnieli polszczyznę. Nie chcą ani słowa w tym języku powiedzieć. Nie dlatego, że ich, nastolatków, coś straszno spotkało, ale wiedzą, co się stało z ich rodzicami. Ale oni mieli dwoje żydowskich rodziców, ja nie miałem tego komfortu, że mogłem się wypisać, więc do dzisiaj mam pokręcenie z połamaniem z tą polskością. Jestem zdziwiony, że ta książka została w Polsce tak sympatycznie przyjęta, bo piszę tam bolesne rzeczy. O naszej tożsamości narodowej, która najwyraźniej nie potrafi sobie poradzić bez Obcego.

AK: Ale pan się tej tożsamości nie wyparł. Mówi pan po polsku.

MZB: Po francusku też mówię...

AK: Ale pisze pan po szwedzku.

MZB: Piszę po szwedzku. Nie wiem, co mam z tym zrobić. Ciągłe się pocieszam Janem Józefem Lipskim i jego wspaniałym esejem *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*. Że patriotyzm to nie jest miłość do tego, co jest, tylko miłość do tego, co być

powinno. To jest jakaś nadzieja. Bo kochać wszystko, co polskie, to jest nonsens. Kochać wszystkich morderców, łajdaków, pedofilów, Kościół katolicki? Broń Boże! Zauważyłem, że różnię się tym od moich szwedzkich znajomych, bo oni nie mają tego problemu. Ja mam z tym problem i już z tego nie wyjdę. No ale moim zdaniem człowiek mądrzeje przez takie doświadczenia. Przynajmniej ja zmądrzałem. Stałem się bardziej tolerancyjny.

AK: Wcześniej mówił pan też o doświadczeniu emigracyjnym. Że o ile nie jest doświadczeniem tragicznym, to poleca je pan każdemu, bo pozwala rozbudzić umiejętność dziwienia się światu. Czemu pan się dziwił w Szwecji na początku i jak to jest dzisiaj?

MZB: Dziwiło mnie wszystko. Dlaczego ludzie nie mówią po francusku? Przecież to jest Zachód. Wszyscy powinni być poliglotami. Można mnie było wziąć w 1969 roku i zakonserwować, bo byłem typowym przykładem polskiego wychowania, ze wszystkimi kompleksami, ze wszystkimi polskimi mitami, ignorancją i uwielbieniem dla Zachodu. Poza tym akurat Szwecja jest tak kulturowo oddalona od Polski, maksymalnie właściwie, pod względem struktury społecznej i doświadczenia historycznego, że jest bardzo trudna do zrozumienia. A ja z przekory i ciekawości zacząłem to studiować. Po jakichś tam doświadczeniach budowlanych poszedłem na historię idei, i to było fascynujące, że

społeczeństwo może mieć tak zupełnie inną historię. Kraj, w którym nie było feudalizmu. Takie proste słowo jak „chłop” jest nieprzetłumaczalne na szwedzki, bo tam nie było chłopów w polskim sensie. Byli farmerzy, zupełnie inna sprawa, którzy z królem byli na ty. I to naprawdę zostawiło bardzo głębokie ślady w tym społeczeństwie.

AK: Tak jak i w polskim.

MZB: Tym bardziej. Po polskim społeczeństwie buszuje feudalizm. To widać na każdym kroku.

AK: W każdej korporacji.

MZB: Robiłem w Szwecji wywiady z polskimi robotnikami budowlanymi – oni byli zachwyceni. Nie płacami czy bezpieczeństwem i higieną pracy, tylko stosunkami międzyludzkimi. Że z szefem się rozmawiało jak z równym. Byłem przekonany, że to Polska jest mistrzem Europy w godności, ale my mamy tylko wzdęcie godnościowe, a taka codzienna godność jest kultywowana w społeczeństwach egalitarnych, takich jak Szwecja czy Dania, już nie mówiąc o Norwegii, która jest nawet zbyt egalitarna, moim zdaniem, ale to już inny temat.

AK: Jest to więc jedno z takich zdziwień, które zadecydowało, że pozostał pan w Szwecji?

MZB: Bardzo szybko się „rozmnożyłem”, więc nie bardzo mogłem jechać gdzie indziej, a po drugie z tego patologicznego zdziwienia zrobiłem sobie zawód. Zacząłem pisać artykuły, które z kolei usiłowały uświadomić Szwedom, jacy są egzotyczni. Bo są. Oni tego nie rozumieją. Szwedzka mentalność polega na tym, iż myślą, że są normalni, a wszyscy inni są jacyś dziwni, zacofani, fanatyczni. To było bardzo fajne, ciekawe, i, o dziwo, dobrze przyjmowane.

AK: No ale nie poruszał pan samych przyjemnych tematów. Pisał pan i o pedofilii, i o wykorzystywaniu pracowników...

MZB: Tak, ale ja się mentalnie stałem Szwedem, kiedy naświetliłem sprawę przymusowych sterylizacji. To było na świecie kompletnie nieznane. Wybuchł światowy skandal i w ciągu trzech dni mieliśmy w Sztokholmie dziennikarzy z całego świata. Raz w życiu byłem w sytuacji, kiedy ustawiały się do mnie kolejki z „New York Timesa”, z „Los Angeles Timesa”, z „Le Monde”. Okropne. Wizerunek Szwecji pokiereszowany.

AK: Do kiedy były te przymusowe sterylizacje?

MZB: Do 1975 roku. Ustawy o przymusowej sterylizacji wykazywały bardzo duże podobieństwa do ustaw nazistowskich. Ale tak było w całej Skandynawii. Oczywiście, było wtedy na mnie mnóstwo ataków: że to nie tak było, że jestem nieuczciwy, że, owszem, fakty, które

podaję, są prawdziwe, ale ja je źle interpretuję i tak dalej. Mnóstwo było takich tekstów, powiedzmy sto, i w jednym ktoś mi wyciągnął pochodzenie. W jednym. W pozostałych nikt nie robił problemu z tego, że ten facet jakoś dziwnie się nazywa, że nie jest Szwedem i w ogóle jakim prawem. Wyobraźcie sobie teraz, że jakiś Chińczyk pisze w Polsce artykuły o pogromach w czasie powstania warszawskiego. Co by się z nim stało? Czy w ogóle byłaby szansa na to, by ktoś nie zwrócił uwagi na to, jak on się nazywa, tylko dyskutował o tym, co ważne? I w tym momencie zrozumiałem, że to jest moja ojczyzna. Tutaj chcę być. Muszę powiedzieć, że do dzisiaj nie bardzo rozumiem, jak można się było powstrzymać od czegoś tak oczywistego, jak wyciąganie mi obcości.

AK: A jak się ułożyło życie pana mamy? Mówił pan, że szybko nauczyła się szwedzkiego i wróciła do zawodu. Wspomniał pan też o tym, że pod koniec życia zaczęła robić notatki. Ale czy miał pan okazję porozmawiać z nią o rodzinnych sekretach?

MZB: Nie, bo się bałem. Nie było tak, że próbowałem nakłonić ją do zwierzeń, a ona się opierała. Bałem się, że taka rozmowa mogłaby się bardzo źle skończyć. Zadawałbym pytania, a ona odbierałaby to jako podważanie jej wersji, myślała, że jej nie wierzę i to by się źle skończyło. Z moją żoną mogła rozmawiać. Moja żona nie była predestynowana przez mamę na kogoś, kto ma ją rozgrzeszać. Poza tym jest kobietą.

AK: Jak się ułożyły relacje między rodzicami?

MZB: Może zostawmy ten temat, bo one się ułożyły bardzo źle. Mama przebaczyła ojcu dopiero po jego śmierci.

AK: Że został.

MZB: To, że został, mogłaby mu jakoś przebaczyć. Przebaczyła mu, że chciał wycofać zezwolenie na wyjazd dzieci i to, że nigdy, do końca nie zrozumiał, kim ona jest. Jakie demony obudził w niej Władysław Gomułka i jego towarzysze. I opinia publiczna.

Ja go właściwie nie winię. Po wojnie ludzie na ogół próbowali zapomnieć o tym, co było, i próbowali żyć. A w przypadku mamy tak było na pewno. Sądzę, że on jej w tym pomagał. Oboje byli psychiatrami. Dzisiaj ktoś by powiedział, że to trzeba przepracować, takie traumy i tak dalej. Wtedy nie było takiego pomysłu. Powiedzmy sobie szczerze: wtedy co trzecia osoba miała objawy tego, co się nazywa zespołem stresu pourazowego. No to kto miał ich leczyć? Mieli się leczyć nawzajem? Jestem prawie pewien, że mama nigdy nie opowiedziała ojcu swojej historii. Nawet nie wiem, czy mu powiedziała o getcie ławkowym i o tym, że nie została przyjęta na uniwersytet. Może i tak. Ojciec powinien był o tym wiedzieć, był wtedy dojrzałym człowiekiem, ale oni chyba postanowili zapomnieć o wszystkim. On więc nie miał szansy zrozumieć tego, co ja rozumiem: jak bardzo była pohara-

tana i czym był dla niej Marzec '68. Dla mnie to nie była żadna tragedia, nawet nie była żadna trauma, dla niej to było coś innego. Wszyscy, którzy przeżyli, przeżyli przecież cudem.

AK: Pańska książka jest też tak poruszająca ze względu na język. Łatwo można by używać wielkich słów, naładować tekst emocjami, metaforami. Kiedy czytałam tę książkę, podziwiałam powściągliwość i emocje, które są, ale wyrażone nie wprost. A później dotarło do mnie, że pan pisał to po szwedzku i przypomniałam sobie, że jako emigrant, początkujący dziennikarz, w polskim stylu chciał pan błysnąć erudycją i budował pan piętrowe zdania. Usłyszał pan, że tak się w Szwecji nie mówi. Chciałam zapytać, czy język szwedzki okazał się pomocny? Czy udało się przybrać panu taką formę, która jest prosta, ale przez to działa mocniej niż tysiące słów?

MZB: Polska proza ma ciągotki barokowe, poza tym Polska jest społeczeństwem klasowym, gdzie język jest sygnałem przynależności. Robotnik w Polsce nie powie: „Podnosząc łopatę, zakląłem siarczyście”, bo w mowie potocznej nie używa się imiesłów. W szwedzkim ich w ogóle nie ma. Na początku, jak pisałem jakieś kawałki, żona się ze mnie śmiała. Mówiłem: „Ale popatrz, jakie skomplikowane zdanie napisałem”. A ona jest prawdopodobnie najlepszą prozaiczką w Szwecji.

AK: Przypomnijmy: to Agneta Pleijel.

MZB: Mówi się nawet, że ma męski styl. Ona się za to jako feministka nie obraża, bo jest coś takiego jak męski styl. Dosyć szybko zakochałem się w szwedzkiej lapidarności, bo stwierdziłem, że jest niesłychanie skuteczna i wyrazista. Moim stylistycznym ideałem są sagi islandzkie, to X–XII wiek. Wydane zresztą po polsku, tylko nie wiem, jak przetłumaczone. To są historie, gdzie wszystkie uczucia powstają u czytelnika. Nie dostrzeżesz ich u autora. Ówczesna proza skandynawska posługuje się litotą, „understatement” po angielsku. Nigdy nie ma przesady, jest odwrotnie. Jest taka piękna scena w „Sadze o Njalu”, kiedy Gunnar i Kol, dwaj rycerze, gonią się nawzajem po małej Islandii przez dziesięć lat, bo skłóciła ich niedobra kobieta, i w końcu spotykają się na jakiejś murawie. Kol wtedy mówi: „No to ja cię zabiję, Gunnar”. Odpowiada mu Gunnar: „Jak z tego zabijania coś ma być, to lepiej podejdź bliżej”. Tak to jest napisane. Jeżeli chcecie się państwo spotkać z takim humorem w nowoczesnej formie, to polecam *Rudy Orm*. To książka dla młodzieży, odpowiednik *Trylogii* Sienkiewicza, przygody Wikingów. Tyle że w przeciwieństwie do Sienkiewicza, Frans Gunnar Bengtsson bez przerwy operuje niedomówieniem i w związku z tym może opowiadać najstraszniejsze historie, które ciągle mają taki absurdalny, humorystyczny wydźwięk.

AK: I nie są barokowe.

MZB: Zakochałem się w tym. Okazało się,

że to jest bardzo skuteczna proza reporterska. To nie jest tak, że język szwedzki sam w sobie narzuca lapidarność. To są sagi Wikingów, tudzież Hanna Krall, w takim koktajlu.

AK: Jak pańską książkę przyjęli Szwedzi?

MZB: Bardzo dobrze, szczególnie że mam wielu wrogów i myślałem, że skorzystają z okazji...

AK: Wrogów wśród Polonii?

MZB: Nie, wśród Polonii nie wiem, ale wśród szwedzkich krytyków, kolegów po fachu. Ładnie się zachowali, nie mogę narzekać.

AK: Też im się otwały oczy? Skoro my nie wiedzieliśmy tyle o przedwojennym antysemityzmie, co dopiero oni.

MZB: Może i tak. Oni mnie znali jako aroganckiego dziennikarza, a w tej książce wychodzi ze mnie trochę inna osobowość.

AK: Tak, to jest przecież bardzo osobista rzecz.

Czy może państwo mają jakieś pytania do pana Macieja?

Głos z sali: Chciałem bardzo serdecznie podziękować za tę książkę – byłem zachwycony i wzruszony. Wspomina pan w niej pana Juliusza Harbuta. Istnieje fundacja jego imienia, broniąca prawdziwych Polaków. Chciałem dwa słowa usłyszeć o tym panu. Wchodziłem do internet-

tu i nie udało mi się nawiązać żadnych kontaktów z tym instytutem.

MZB: W mojej książce jest list, który powstał, kiedy próbowałem poradzić sobie z depresją.

Tenże adwokat, który dziadka bił po twarzy, prześladował go jeszcze przez sześć lat i w ogóle miał hyzja na punkcie Żydów. To był antysemita i w dodatku, moim zdaniem, psychopata. Do tego stopnia, że polskie sądy ciągle go skazywały za napaści. Był piniaczem i gwałtownikiem. W archiwach doszukałem się informacji, że w czasie wojny został folksdojczem, że po wojnie skazano go za to. W końcu wycofano ten wyrok, stwierdzając, że był niepoczytalny. Przed wojną trudno było odróżnić patologicznego antysemitę od człowieka niepoczytalnego. Tylu ich było. Przez przypadek odkryłem, że jest fundacja jego imienia, stworzona przez wnuków czy prawnuków dla uczczenia pamięci patrioty. Widzę, że oni w ogóle nie znają historii swojego pradziadka. Nie twierdzą, że kłamią, ja przed rokiem 1968 też wierzyłbym bezkrytycznie w to, co powiedziała mi tata czy dziadek o jakimś bohaterskim krewnym. W takie rzeczy się wierzy, nikt tego nie sprawdza.

No więc napisałem list. Ten list jest w książce, został wysłany. Przyszła odpowiedź, że są zbulwersowani i że chcieliby zobaczyć dowody. Wysłałem z pięćdziesiąt stron kserokopii z archiwum. Potem była cisza, potem ta strona na miesiąc została zamknięta.

Dostałem list z ostrzeżeniem, że bym uważał, bo mogą mnie pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Strona wróciła w niezmienionej formie. Dalszych kontaktów z tymi wnukami nie było.

Miałem odpowiedź, że oni wiedzieli o tej karcie folksdojczca, ale że ona została mu wmuszona. Były takie przypadki. To nie jest wykluczone. Bardzo możliwe, że w jego przypadku też tak było, tylko że on ją oddał dopiero półtora roku później, kiedy Rosjanie stali już pod Krakowem. Prawdopodobnie był chory psychicznie już wtedy, gdy prześladował dziadka. Mój dziadek miał wyjątkowego pecha: prześladował go antysemita, do tego psychopata. Rozumiem, że oni nie bardzo wiedzą, co z tym fantem zrobić. Nie bardzo wiedziałem, czy się z nimi kontaktować, czy tak wypada. Napisałem bardzo uprzejmie, że nikt nie odpowiada za swoich dziadków, ale odpowiadamy za to, co robimy z pamięcią. No ale w jakimś sensie też ich rozumiem. Ja akurat mam szczęście, że nie muszę się wstydzić za przodków, chociaż nigdy nie wiadomo. Mój wujek był hallerczykiem, ojciec brał udział w kampanii ukraińskiej.

To jest zapomniany epizod w polskiej historii, ale to była przecież wojna kolonialna, na której się gwałciło i rąbało.

Głos z sali: Mówił pan o tej poprawności politycznej, że pana nie krytykowano. Zrobił pan dużo fantastycznych rzeczy. Mieszkałem w Szwecji przez lata i trochę to śledziłem. Książką o polskim

hydrauliku też pan potężnie wstrząsnął branżą budowlaną. Miałem żonę Szwedkę, ze starego szwedzkiego rodu, i widziałem, jaka jest hipokryzja. Krewni mojej żony w godzinach oficjalnych, w pracy, byli bardzo *korrekt*, ale wieczorami, w weekendy, kiedy sobie popili, wychodziła z nich złość na socjalistów, Arabów i tak dalej. Co pan o tym sądzi, o tej szwedzkiej hipokryzji?

MZB: Wie pan, cierpię z powodu szwedzkiej poprawności, ale jeszcze bardziej cierpię z powodu polskiej niepoprawności. Doszedłem do wniosku, że rozwój cywilizacyjny niestety w dużej części odbywa się przez tresurę, przez bicie po łapach. Tutaj przez wiele lat można było serwować dowolne dowcipy o kobietach, nikt nie reagował, wszyscy się radośnie śmiali, aż ktoś w końcu powiedział: „Przecież tak nie wypada”. A jeszcze później okazało się, że nie tylko nie wypada, ale i można stracić pozycję w towarzystwie, kiedy człowiek tak się wyraża. To jest ostracyzm społeczny, prawda? Ta osoba rozumie, że nie może już tak mówić o blondynkach czy teściowych, jakoś internalizuje tę presję społeczną i przestaje serwować tego typu dowcipy. Oczywiście wolałbym, żeby to była jakaś przemiana w sercu, ale niestety jestem przekonany, że bicie po łapach jest nieodłącznym elementem cywilizacji. Ryzyko jest takie, że publicznie jesteśmy tacy, a inni w domu. To jest to, o czym pan wspominał. Kiedy pękają krany, wszystko się wylewa. W Szwecji to już miało miejsce. Teraz można bezkarnie

mówić o uchodźcach rzeczy, których nie wypadało mówić jeszcze pięć lat temu.

AK: Myślałam, że ta norma cały czas obowiązuje.

MZB: Nie. Coś pękło cztery lata temu, kiedy mieliśmy falę uchodźców. Sto siedemdziesiąt tysięcy w ciągu pół roku. Szwecja rzeczywiście nie była na to przygotowana. Żaden kraj nie jest przygotowany na coś takiego. Okazało się, że błędem było wcześniejsze negowanie problemów integracji. Ja mam czyste sumienie, ja się akurat w tej sprawie awanturowałem już dziesięć lat temu. Pisałem, że integracja nie dokonuje się sama, że trzeba nad tym pracować, że język szwedzki jest ważny. Nawet należy ludzi przymuszać, żeby się tego języka uczyli. Dla mnie w tej chwili większym problemem jest polska niepoprawność polityczna.

Głos z sali: Na czym ona polega?

MZB: Na czym polega? Że można całe grupy społeczne wykluczać ze społeczeństwa czy ze wspólnoty. Że jest jakiś „gorszy sort”. I to porównywanie ludzi do wirusów, do zarazków. I cała ta retoryka: wróg zewnętrzny, wróg wewnętrzny... Ja nawet nie jestem przekonany, że ci, którzy te hasła głoszą, sami w nie wierzą. Ale okazuje się, że to popłaca. Wypuszczają demony i w związku z tym rośnie też antysemityzm. Już nawet Żydów nie trzeba. Warszawskie Centrum Badań nad Uprzedzeniami doszło do wniosku, że to są naczynia połączone. Jak się wygaduje na

Arabów, to i tak wszystko skrupia się na Żydach (choć ich nie ma), bo system przesądów i uprzedzeń to są naczynia połączone. To się na wszystkich rozlewa. Skończy się na rudyh. Potrzeba ludzi, którzy odstają. To jest bardzo niebezpieczne. Cywilizowaną kulturę tworzy się przez stulecia, a można ją zniszczyć przez dwadzieścia lat.

AK: Dlatego też pana książka jest tak przejmująca. Czytając ją, wiele razy można dojść do wniosku, że to się dzieje teraz. Nie ma jeszcze gett ławkowych, ale są wskazywani kolejni wrogowie, kolejni gorsi, którzy nie powinni mieszkać w kraju prawdziwych Polaków. To jest przerażające. Rozumiem pana depresję narodową. Wielu z nas doświadcza tego coraz mocniej.

MZB: Ja nawet napisałem do prokuratury donos na siebie, kiedy była aktualna ustawa o IPN. Żeby się nie męczyli, że to jest na tej i na tej stronie. Nie zdążyłem wysłać, bo się wycofali. Potem się dowiedziałem, że było z dziesięć takich donosów i wszystkie one były autodonosami.

Głos z sali: Chciałem zapytać o kwestię językową. Pan operuje bardzo piękną polszczyzną. Napisał pan swoją książkę po szwedzku. Jak odbiera pan tę książkę po polsku? Jak układała się współpraca z tłumaczem?

MZB: Bardzo dziękuję za komplement. Mówię szczerze, przez jakiś czas traciłem polszczyznę. Przywróciłem ją sobie

czy też ona została mi przywrócona. To jest przekład autoryzowany znakomitego tłumacza Mariusza Kalinowskiego, który ma na swoim koncie Swedenborga, Strindberga – takich pisarzy. Wspaniale się z nim pracowało. On się nawet zgodził, żebyśmy trochę polszczyznę skandynawizowali. Są różne strategie translatorskie: czy przybliżać tekst czytelnikowi, czy wręcz przeciwnie, a ja poprosiłem, żeby w ogóle nie było w nim imiesłowów, które się naturalnie narzucają po polsku. Nie lubię ich, bo one psują obraz. Ta jednocześnie to jest coś zupełnie innego niż dwa obrazy. Mariusz wychwyił tego bluesa. Ewenementem jest, że książka nie jest dłuższa od oryginału. Normalnie przekład jest dłuższy o jakiś dziesięć procent. I potem czytam wspaniałe recenzje o tym, że czytelnik nie zauważa, że to przekład. To jest książka w jakiś sposób pomyślana po polsku, napisana po szwedzku, potem Kalinowski zrekonstruował tę polszczyznę, która się kryła za tą szwedczyzną. Do końca nie wiem, w jakim języku myślałem. Jestem bardzo szczęśliwy, że on to zrobił. Mieliśmy przy tym różne, bardzo ciekawe przygody lingwistyczne. Tępiłem zaimki. Ciągłe się narzucają. „Zobaczył na ulicy jakąś kobietę”. Pytałem: „Po co to *jakąś*”? Albo „gdzieś”, albo „kiedyś”. To wszystko wyrzuciliśmy. On się czasami trochę opierał, ale wszystko jest przez nas wspólnie uzgodnione. Do tego jest niezwykłym erudytą. Powiedziałem mu: „Mariusz, nie możesz napisać, że ten samochód miał takie

bajery, bo tak się w latach 60. nie mówiło”. A on mi dowodził, że już w latach 30. słowo „bajer” występowało w języku polskim. Jest nieprawdopodobnie czytany. „Słuchaj – mówić – tu użyłeś tego zwrotu. Czy jesteś świadom, że on się kłóży z takim a takim pisarzem? Czy dokładnie to samo chciałeś powiedzieć?”. Uchronił mnie w ten sposób przed różnymi gafami czysto faktologicznymi.

AK: Na koniec chciałam zapytać: czy ta książka spełniła swoją terapeutyczną rolę? Inaczej pan teraz patrzy na historię, na Polskę? Pogodził pan się z tym?

MZB: Nie jestem w stanie pogodzić się z teraźniejszością. Mam problem, jak to interpretować. Nie jestem analitykiem politycznym, nie wiem, czy jest tak, jak już w latach 80. twierdził Jerzy Giedroyc: „Jeżeli Polska będzie kiedyś wolna, to będzie endecka”.

Czy to jest nasz los? Nie wiem. Na pewno stałem się mądrzejszym patriotą. To jest kraj o bardzo nieszczęśliwej historii, którą, jak zawsze, częściowo sami sobie urządziliśmy. W książce jest zdanie, które się powtarza: „Nic nie jest z góry przesądzone, ale wszystko się ze sobą łączy”.

Nic nie jest z góry przesądzone. Dmowski nie musiał zostać mężem stanu. Wystarczyłoby, żeby się przeziębził. Wszystko jest możliwe i dlatego nie należy tracić nadziei, nie należy nikogo ani niczego spisywać na straty czy wygłaszać definitywnych sądów. Jestem z Poznania i dla mnie ważna jest praca organiczna. Robić swoje.

AK: Dziękuję panu za rozmowę. Dziękuję państwu.



Tekst

Maciej Zaremba Bielawski
Aleksandra Kozłowska

Korekta

Elżbieta Pękała

Opracowanie graficzne i skład

Michał Pecko, Marta Stasiukiewicz

Seria publikacji jest zapisem rozmów i rozważań dotyczących emigracji oraz doświadczeń polskich i żydowskich w obrębie krajów skandynawskich. Treści prezentowane w zbiorze zostały zarejestrowane w październiku 2019 roku, podczas konferencji „Raport z emigracji. Spotkania ze światem” w ramach jesiennej odsłony Festiwalu Kultur Okno na Świat.

Wydawca

Nadbałtyckie Centrum Kultury

ISBN 978-83-954267-3-5



www.nck.org.pl